

Kilka uwag o muzyce w kościołach polskich

Kościół Powszechny od blisko dwóch tysięcy lat wpisany w historię cywilizacji europejskiej, kształtujący jej bieg i rozwój kultury, inspirujący ewolucję rozmaitych kierunków w sztuce, przeżył wiele doświadczeń i był świadkiem wielu wydarzeń. Z pewnym uproszczeniem, można jednak sądzić, że w dziedzinie sztuki, aż do końca wieku osiemnastego pozostawał głównym mecenasem, zleceniodawcą, odbiorcą i w pewnej mierze – prawodawcą.

Oczywiście, w sztuce i kulturze narodów europejskich, w różnych okresach dziejów, występowała, mniej lub bardziej wyraźna, granica pomiędzy *opus sacrum* i *opus profanum*.

Niemniej jednak, oba te rodzaje wypowiedzi artystycznej były organicznie zakorzenione w podlegających ewolucji systemach życia społeczeństw, odzwierciedlając zarazem ich dążenia, zadania doczesne, jak i potrzeby transcendencji.

John Ruskin mawiał: „Wielkie narody piszą swoją autobiografię na trzech manuskryptach: księdze swoich czynów, księdze swojego języka, księdze swojej sztuki. Żadna z nich nie może być zrozumiana bez znajomości dwóch pozostałych, ale spośród trzech, jedyną godną wiary jest ostatnia”.¹

Wydaje się, że Kościół, w ciągu bardzo wielu wieków znał tę prawdę i przywiązywał do niej wielką wagę. Co więcej, Jego magisterium, w znacznej mierze opierało się na wymowie sztuki i jej roli jako środka przekazu. A w kolejnych epokach, wielkie dzieła architektury, malarstwa, rzeźby i muzyki wraz z przesłaniem obu Ewangelii i całego nauczania Kościoła niezmiennie uosabiały pierwiastek doskonałego piękna i harmonii.

Rewolucyjne przeobrażenia, które od ponad dwu wieków nieprzerwanie wstrząsają społeczeństwami naszego kręgu cywilizacyjnego, nie ominęły żadnej sfery życia. Ich olśniewające rezultaty, będące źródłem wiary w nieograniczony postęp, jak i porażki, wynikające ze straszliwych doświadczeń XX wieku stawiają współczesnego człowieka wobec wyzwań i problemów na skalę dotąd nieznaną.

Słowem „kryzys” określa się – nie od dziś – wszystkie właściwie przejawy życia społecznego z jego podstawowymi formami i instytucjami, takimi jak rodzina, stosunki międzyludzkie, organizacja życia religijnego. Także migracje wielkich grup ludności, niekontrolowane procesy globalizacyjne stanowią wciąż nierozwiązany

¹ Ruskin John (1819-1900) angielski historyk sztuki

problem, rodzący nowe zagrożenia, a nawet obawy o przyszłość całego gatunku ludzkiego.

Sztuka, w której od zarania dziejów człowiek objawiał swoje potrzeby egzystencjalne i duchowe znalazła się – rzecz by można – w superkryzysie, wynikającym z samej jej natury (patrz wypowiedź Ruskina). Przy niebywałym tempie rozwoju techniki, nieznanym kiedyś fenomen masowej produkcji przemysłowej przyczynił się do powstania tzw. kultury masowej wykorzystującej na skalę globalną substytutu przedmiotów sztuki. Z kolei łatwość rozprzestrzeniania się kultury masowej doprowadziła do niemal całkowitego wyparcia ze świadomości coraz liczniejszej populacji naszego globu potrzeby obcowania ze sztuką, jako zjawiskiem *par excellence* artystycznym.

Kościół, pomimo swego wielowiekowego doświadczenia we współzyciu ze sztuką, począwszy od końca wieku osiemnastego, w coraz większym stopniu (zwłaszcza w krajach Zachodu) ograniczał swoją tradycyjną rolę mecenasa, zleceniodawcy i prawodawcy. Kolejne generacje artystów, znacznie bardziej wyczułone na „nowe” prądy, mody, będące wyrazem coraz bardziej elitarnych gustów i tendencji w sztuce, coraz wyraźniej przestawały się liczyć z wymaganiami swego odwiecznego patrona.

Tendencje liberalne, antyklerykalne elit – z jednej strony, jak i społeczna „homogenizacja” wiernych, stanowiących mieszaninę wyobcowanej ze swego naturalnego środowiska ludności wiejskiej ze zdeorientowanym pod wieloma względami proletariatem – z drugiej, oba te czynniki zachwiały nie tylko ustalonym porządkiem społecznym krajów europejskich, ale postawiły także Kościół wobec nieznanymi dotąd wyzwań i zagrożeń.

„Nie czas żałować róż, gdy lasy płoną!” – porzekadło to tłumaczy w pewnym sensie spadek zainteresowania sztuką i jej rolą w nauczaniu Kościoła. Nie bez wpływu na ten stan rzeczy były stopniowe wymiany elit w łonie samych Instytucji kościelnych, a także, zgodne z panującym duchem czasu, zorientowanie katechezy w kierunku wykładni naukowej oraz psychologii.

Wydaje się, że w wyniku tych radykalnych przemian, rozbrat sztuk pięknych, w tym muzyki – w rozumieniu tradycyjnym, liturgicznym - z nauczaniem Kościoła, stał się faktem.

Pomimo tego stanu rzeczy, podejmowane w różnych okresach próby odnowienia tradycyjnych związków sztuki z duchem misji ewangelizacyjnej Kościoła zaowocowały dziełami najwyższej próby.

Dotyczyły one w szczególności dziedziny muzyki, gdzie (w przeciwieństwie do sakralnych budowli architektonicznych, w przeważającej liczbie eklektycznych albo bezstylowych) w ciągu wieków XIX i XX z inspiracji religijnej powstało wiele monumentalnych i oryginalnych kompozycji organowych, oratoryjnych (Beethoven, Schubert, Liszt, Rossini, Verdi, Brahms, Bruckner, Franck, Debussy, Szymanowski, Honegger, Strawiński, Penderecki – żeby wymienić tylko niektóre nazwiska). Nietrudno jednak zauważyć, że dzieła te są wykonywane przeważnie w wielkich

salach koncertowych, najczęściej bez żadnego związku z ich kontekstem liturgicznym, a nawet jeśli trafiają do wnętrza kościołów (ostatnio coraz częściej), to raczej na prawach wydarzeń artystycznych, z udziałem publiczności koncertowej, a nie wobec wiernych przybyłych na modlitwę. Zapewne, fakt ten jest sam w sobie bardzo pozytywny – owo otwarcie się świątyń na wielką muzykę, na możliwość przeżywania jej we wnętrzach przesiąkniętych atmosferą skupienia i kontemplacji. Dzięki temu, wielu ludzi ma okazję, nierzadko po raz pierwszy, odkrywania w sobie takich stanów duchowych, których nigdy dotąd nie było im dane zaznać.

Znacznie częściej – niestety – mamy do czynienia z sytuacją, w której pełen najlepszych chęci kapłan (podobno piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami), kierując się modą na „przyciągnięcie młodzieży do kościoła”, raczy swoje owieczki pseudomuzyką, popłuczynami rozmaitych odmian big beatu, czy pop-music, pacząc ich niewyrobione gusty i co gorsza, wykluczając, w imię opatrnie pojętego „uczestnictwa” możliwość wewnętrznego skupienia, przeżywania tajemnic wiary. Jakże często zapomina się o tym, iż nie należy próbować łączenia „wody z ogniem” i że Kościół w ciągu swego istnienia, a wraz z nim wierni i sami twórcy potrafili doskonale odróżnić *opus sacrum* od *opus profanum*, nie wspominając już o masowych produktach tej ostatniej, spełniającej wszelkie kryteria „pornografii muzycznej”, przepełniającej współczesny świat mediów.

Jestem przekonany, że problem złej, z gruntu wulgarnej, choć tak „chwytliwej” dla wielu pseudomuzyki we wnętrzu naszych świątyń (podobnie jak i wielu innych przejawów złego smaku) ma zdecydowanie negatywne znaczenie wobec podejmowanego przez Kościół w dobie obecnej dzieła Nowej Ewangelizacji. Nie da się bowiem oddzielić w rzeczywistości funkcji sumienia człowieka od jego poczucia wartości estetycznych. I chociaż istnieje wiele stopni wrodzonej i nabytej wrażliwości na wartości estetyczne, to potencjalna zdolność doceniania wartości autentycznego piękna jest taka sama lub podobna u jednostek wywodzących się z różnych warstw społecznych. Nakazy moralne i wynikające z nich poczucie dobra i zła, stanowiąc w obrębie jednej cywilizacji i kultury powszechny system wartości, łączą się w nierozdzielalną całość z ukształtowanymi w ciągu wieków wartościami estetycznymi – powszechnym poczuciem piękna.

Oczywiście, nie ośmielam się negować uznanej autonomii, a nawet absolutnego priorytetu systemu norm moralnych, traktowanych jako imperatywy w postępowaniu człowieka, nad wszelkimi innymi kategoriami wartości. Pragnę jedynie zwrócić uwagę na istnienie wewnętrznych powiązań i wzajemnych uwarunkowań obu tych kategorii wartości w psychice (duszy) każdego człowieka, niezależnie od jego poziomu moralnego i kulturalnego.

Wydaje się rzeczą bezsporną, że postępowanie człowieka i jego zdolność samooceny tego postępowania jest zależna także od poziomu jego kultury, czyli wrażliwości na wartości czysto estetyczne otaczającej nas rzeczywistości.

Od lat kilkudziesięciu dają się słyszeć opinie wybitnych osobistości, jak i różnych gremiów na temat zastraszająco niskiego stanu kultury muzycznej naszego społeczeństwa. W przeciwieństwie do krajów ościennych, gdzie wielowiekowa tradycja oraz odpowiedzialna troska o umuzykalnianie młodzieży dały doskonałe i trwałe wyniki, dzieci polskie, w szkołach i w przedszkolach są, poza absolutnymi wyjątkami, zupełnie pozbawione właściwie prowadzonej nauki śpiewu, gry na autentycznych instrumentach, to jest na takich, na których możliwe jest kształtowanie dźwięku w sposób naturalny, bez pomocy elektroniki. Brak jest wystarczającej liczby odpowiednio wykształconych nauczycieli, brak zrozumienia wychowawczej roli muzyki ze strony odpowiedzialnych za stan szkolnictwa, poczynając od stopnia podstawowego. Można by długo wyliczać przyczyny i fatalne skutki tego powszechnego analfabetyzmu muzycznego, pogłębiającego się nieubłaganie w każdym, kolejnym pokoleniu Polaków. Jednocześnie czynniki oficjalne niezmiennie lubują się w bezkrytycznym wychwalaniu sukcesów międzynarodowych naszych kompozytorów, czy zespołów muzycznych, nie mających żadnego odpowiednika w zainteresowaniu muzyką, w czynnym jej uprawianiu wśród ogółu społeczeństwa. Wystarczy przypomnieć, że w polskich szkołach muzycznych uczy się około dziesięć razy mniej młodzieży (procentowo – w stosunku do liczby ludności), niż w krajach takich jak Finlandia, Niemcy, Austria, Francja, czy Węgry. Natomiast w szkołach ogólnokształcących młodzież w praktyce jest pozbawiona kontaktu z dobrą muzyką.

W naszych przedszkolach, w szkołach podstawowych, dzieci, o ile w ogóle śpiewają - to nierytmicznie i fałszywie, po prostu – brzydtko. O repertuarze lepiej nie wspominać: wzory czerpane są z tandety zalewającej radio, telewizję, z różnego autoramentu imprez masowych.

O tym, że nawet czteroletnie dzieci potrafią śpiewać czysto, rytmicznie, a nawet ślicznie – każdy może się przekonać osobiście we Francji, Austrii, a i nie daleko szukając – za naszymi wschodnimi granicami.

Trudno się dziwić w tej sytuacji, że śpiewy wiernych w naszych świątyniach nie odbiegają, pod względem czysto muzycznym od tego, co można usłyszeć, kiedy nasi rodacy odczuwają potrzebę wyrażania głosem uczuć nie tylko religijnych.

Piękny, oddający w najpełniejszy sposób ducha modlitwy śpiew zbiorowy w kościele jest przejawem wyrobienia artystycznego wiernych, rezultatem długiego okresu nieprzerwanej tradycji, wciąż na nowo odżywianej wysiłkiem kompetentnych, świadomych swoich zadań nauczycieli.

Żeby raz jeszcze posłużyć się przykładem spoza naszej polskiej rzeczywistości: w kościołach Austrii, zarówno tych wielkich, wiedeńskich, jak i małych, położonych na prowincji, wierni mają do dyspozycji gęsto rozłożone śpiewniki (nierazko pięknie oprawione, szacowne stare wydania, w użyciu od pokoleń) z bogatym zbiorem pieśni na różne okazje, zawierającym zapisy nutowe oraz teksty słowne. Linia melodii na ogół prosta, łatwa do zapamiętania i do odczytania dla znających pismo muzyczne – autorstwa Haydna, Mozarta, Schuberta. Nie ma tam miejsca na

muzyczną tandetę, której zresztą ludzie od pokoleń wychowani na wielkiej sztuce muzycznej nie tolerowaliby.

Organiści, chórmistrzowie, osoby odpowiedzialne za muzykę w kościele, często nie posiadający statusu profesjonalisty, dzięki ogólnemu, wysokiemu poziomowi kultury muzycznej, znają się na rzeczy, pełniąc swoje obowiązki z powagą i oddaniem, wedle dawnej reguły *ad maiorem Dei gloriam*.

Stale podkreślam w niniejszych uwagach znaczenie długiego, wielopokoleniowego okresu nieprzerwanej tradycji, która podtrzymywana i ożywiana codzienną praktyką zapewnia niezmiennie wysoki poziom muzyczny i artystyczny odprawianej liturgii. Wytworzenie wysokiej kultury wśród najszerszych kręgów społeczeństwa wymaga współdziałania wielu różnorodnych czynników, w pomyślnych warunkach rozwoju i przez bardzo długi okres czasu. Za to bez porównania szybciej i często z nieodwracalnymi skutkami może dojść do gwałtownego załamania i obniżenia ogólnego poziomu cywilizacyjnego i kulturalnego, w wyniku zniszczenia szczególnie podatnych na unicestwienie wartości duchowych, w okolicznościach znanych nam z doświadczeń minionego stulecia.

Można żywić uzasadnioną nadzieję, iż społeczeństwo zdrowe, posiadające zasoby energii kumulowanej przez wieki, po przeżyciach nawet tak strasznej katastrofy jak ostatnia wojna z jej długoletnimi konsekwencjami, dość szybko „odreagowuje” także w dziedzinie kultury.

Dowodem tego może być niezwykle wprost popularność wszelkiego rodzaju koncertów muzyki klasycznej, przedstawień teatralnych w powojennej, zrujnowanej Warszawie lat czterdziestych. Jeżeli jednak takiemu spontanicznemu zrywowi nie towarzyszy dobrze zorganizowana praca wychowawcza zwrócona ku młodym pokoleniom, zapal mija i następuje stale pogłębiający się regres, czego jesteśmy świadkami od lat.

W Polsce powojennej, pomimo różnych propagandowych haseł o upowszechnianiu kultury, takiej pracy wychowawczej nie podjęto. Warto zauważyć, że „upowszechnianie”, to nie to samo co nauczanie i wychowanie. A przy tym „upowszechnianie” miało służyć głównie „indoktrynacji”, a przyniosło jedynie deprecjację autentycznych wartości, wiedzy i podstaw kultury.

Nie powstał też – jak dotychczas – mimo licznych dyskusji, żaden spójny system powszechnego nauczania podstaw muzyki, (często mylnie utożsamianego z tzw. „umuzycznieniem”) obejmujący swoim zasięgiem przedszkola, szkoły podstawowe i średnie.

Od dawna znane i znakomicie funkcjonujące systemy: Dalcroze’a i Orffa w Szwajcarii, Kodaly’a na Węgrzech, które przyniosły wspaniałe rezultaty także w wielu innych krajach, u nas – wciąż pozostają w sferze akademickich dyskusji i rozpraw teoretycznych. Ich niewątpliwie słuszne postulaty napotykają na wiele przeszkód, wśród których na pierwszym miejscu należałoby wymienić brak odpowiedniej liczby wykształconych nauczycieli.

Mimo, że podobny pomysł mógłby zostać uznany za utopijny, ośmielę się twierdzić, iż stworzenie dobrego, stale rozwijanego systemu powszechnego nauczania muzyki zapewniłoby kolejnym generacjom naszego społeczeństwa potężny zastrzyk energii duchowej na pełne nieznanych wyzwań czasy dwudziestego pierwszego stulecia. Inicjatywa taka mogłaby wyjść od ludzi świadomych celu, którzy zdołaliby uzyskać trwały wpływ na odpowiednie władze – państwowe, czy samorządowe. Być może, podobna inicjatywa powstała na gruncie społeczności Kościoła miałaby, dzięki światłej opiece i poparciu Hierarchii, jeszcze większe szanse powodzenia.

Jedno wydaje się pewne: nie będziemy mogli słuchać pięknego, uwznioślającego modlitwę śpiewu w naszych kościołach, jeżeli wierni, od wczesnego dzieciństwa nie będą uczeni umiejętności czystego, rytmicznego czytania nut głosem przez dobrze do tego przygotowanych nauczycieli.

Biorąc pod uwagę doświadczenia innych narodów o niewątpliwie wyższym od naszego poziomie kultury muzycznej, musimy pamiętać, że mamy przed sobą długą drogę, obliczoną na pokolenia i wymagającą długotrwałej opieki ze strony tych, którzy są odpowiedzialni harmonijny rozwój społeczeństwa.

Nie powinniśmy jednak zapominać o naszych wielowiekowych, bliskich związkach kulturowych z tymi nurtami cywilizacji europejskiej, które dzięki zasymilowaniu dziedzictwa starożytnej Grecji i Rzymu umożliwiły naszemu kontynentowi osiągnięcie wyjątkowej pozycji w epoce nowożytnej.

Dziś, kiedy po okresie nieznanej dotąd w dziejach aberracji w postaci dwóch zbrodniczych systemów totalitarnych Europa próbuje określić swoją tożsamość i kierunek dalszego rozwoju, coraz wyraźniej widać, że jej prawdziwe zjednoczenie nie może się ograniczać do kwestii gospodarczych i monetarnych, lecz musi się dokonywać poprzez wzajemną wymianę tych wartości, które ją uformowały i dzięki którym nadal pozostaje żywym i promieniującym źródłem kultury Zachodu.

Karol Wielki, któremu zjednoczenie Europy udało się osiągnąć (co prawda na krótko) przed ponad tysiącem lat, doceniał potrzebę wzajemnej wymiany, kiedy rozkazywał: *“W każdej diecezji nauczanie ma być udzielane w umiejętności śpiewu, znajomości pisma muzycznego, rachunku lat i pór roku, w gramatyce”*.